

WIECZORY RODZINNE



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA MŁODZIEŻY

WIZERUNKI KRÓLÓW i KSIĄŻĄT POLSKICH

w zeszytach do kolorowania z tekstem
ułożonym przez *H. MOŚCICKIEGO*

nabywać można w pierwszorzędnym księgarzniach
i składach materiałów piśmiennych i zabawek

SKŁAD GŁÓWNY

Towarzystwo Wydawnicze „ŚWIT“.

Warszawa, Krak. Przedm. 69. Telefon 194-06.

52. 109. 6.

W ADMINISTRACYI

„Wieczorów Rodzinnych“
I W KSIĘGARNIACH

SĄ DO NABYCIA

NASTĘPUJĄCE ZAJMUJĄCE I TANIE
KSIĄŻKI DLA MŁODZIEŻY.

- Warren Bell*. Tajemnice szkoły
cena w opr. płóc. kop 75
- K. May*. Kiang-lu czyli Rozbójni-
cy chińscy „ 75
- H. Malot*. Roman Kalbris „ 75
- Kapitan Mayne Reid*. Zdziera-
cze czupryn „ 80
- A. Grudzińska*. Mnich, powieść
historyczna „ 60
- Wł. Umiński*. W krainie wscho-
dzącego słońca, pow. z życia
dzieci japońskich z rycinami
w oprawie rb. 1
- W. Umiński*. Synowie puszczy
powieść „ 1
- K. May*. Karawana Niewolników
z rycinami „ 1

Na żądanie, książki wybrane, wysyłamy za
zaliczeniem pocztowym.

BIURO NAUCZYCIELSKIE

„**Z. JASIŃSKIEJ**“

poleca nauczycieli, nauczycielki, bony,
~~rodz~~ freblanki, ochraniarki. ~~rodz~~
Sprowadza Angielki, Francuzki, Niemki,
~~rodz~~ z własnych biur zagranicznych. ~~rodz~~
Warszawa, Włodzimierska № 19. Tel. 191-44.

26. 102. 24.

PIERWSZORZĘDNE

Kaucyonowane Biuro Nauczycielskie

LEOKADY MAX

poleca: nauczycielki, nauczycieli, fre-
blanki, Francuzki, Angielki, Niemki—
sprowadza z własnych biur zagraniczn.
Warszawa, Marszałkowska 148, tel. 124-38.

26. 104. 20.

PIERWSZORZĘDNE BIURO NAUCZYCIELSKIE

Maryi NOWORYTO

byłej nauczycielki

Chmielna 30, tel. 180-24.

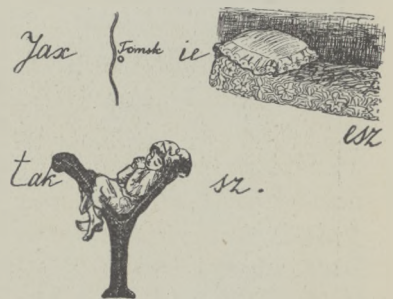
Poleca: nauczycieli, nauczycielki, bony
Polki, cudzoziemki sprowadza z zagra-
~~rodz~~
~~rodz~~ nicy. ~~rodz~~

16. 106. 13.

OD ADMINISTRACYI.

Przypominamy sz. Pre-
numeratorom naszym,
że czas odnowić pre-
numeratę na drugie
półroczce.

REBUSIK.



POCZTÓWKI

KOPIE Z OBRAZÓW W BARWNEM WYKONANIU I NA PAPIERZE
BROMOSREBRNYM POLECA W WIELKIM WYBORZE HURTOWY SKŁAD

~~rodz~~ TOWARZYSTWO WYDAWNICZE ~~rodz~~

„ŚWIT“
w Warszawie Krak. Przedm. 69.

WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA MŁODZIEŻY.

DO POWIEŚCI „SPRZYMIERZEŃCY“.



I z dobytą szablą, rzucił się naprzód.

O. CONAN DOYLE.

ZAGINIONY ŚWIAT

OPOWIEŚĆ O ZDUMIEWAJĄCYCH PRZYGODACH
PROFESORA JERZEGO CHALLENGERA, LORDA
JOHNA ROXTONA, PROFESORA SUMMERLEE
I PANA EDWARDA MALONA CZŁONKA REDAKCYI
„GAZETY CODZIENNEJ“.

c. d.

PRZEKŁ. Z ANG. M. G.

Złożył na jej policzku głośny pocałunek, co mnie zmieszało więcej, niż poprzednie gwałty. A potem zwrócił się do mnie i wyrzekł w nagłym przystępie godności:

— A teraz proszę, panie Malome, racz pan tędy pójść za mną.

Wróciliśmy do tego samego pokoju, który opuściliśmy niedawno w sposób tak gwałtowny. Profesor zamknął starannie drzwi pokoju, posadził mnie w fotelu i podsunął mi pod nos pudełko z cygarami.

— Oryginalne San Juan Colorado—objaśnił.— Skłonny do uniesień ludziom dobrze robią narkotyki. Boże! Nie odgryzaj końca! Obetnij! Obetnij z należnym uszanowaniem! A teraz oprzyj się wygodnie i posłuchaj tego, co postaram się opowiedzieć. Jeżeli nasunie ci się jaka uwaga, odłóż ją do odpowiedniejszej chwili.

I zaczął opowiadanie.

— Na pierwszym miejscu wyjaśnienie twego powrotu do mego domu po należnym wyrzuceniu za drzwi...

Wysunął naprzód brodę i popatrzał na mnie wyzywająco, jak ktoś oczekujący zaprzeczenia. Zmilczałem.

— Po zupełnie zasłużonem wyrzuceniu za drzwi, jak mówiłem — powtórzył. — Powodem tego była twoja odpowiedź, dana dostojnemu policjantowi, w której błysnęła mi iskierka uczciwości, czego nie spotyka się u ludzi twojego zawodu. Zgadając się na to, że cały wypadek zdarzył się z twojej winy, dałeś dowód pewnej niezależności umysłowej i szerszych poglądów, na co zwróciłem łaskawą uwagę. Ten podgatunek ludzkiej rasy, do jakiego na nieszczęście należysz, stoi zawsze niżej ode mnie pod względem umysłowym. Twoje odezwanie się wyniosło cię od razu ponad poziom twoich kolegów; zwróciło poważnie na ciebie moją uwagę. Dlatego zażądałem, byś wrócił do mego domu i postanowiłem zaznajomić się z tobą bliżej. Proszę, zechciej łaskawie otrząsnąć popiół z cygara na tę japońską

tackę na bambusowym stolyczku, który stoi na lewo od ciebie...

Grzmiał potężnym basem, jak profesor wykładający studentom. Obrócił się na śrubowym krześle twarzą prosto do mnie i siedział nadęty jak olbrzymia żaba, z głową w tył przechyloną i oczyma napół przymkniętymi, spoglądającymi z poza rzęs. Nagle zakręcił się w bok i zobaczyłem tylko poczochraną czuprynę, i czerwone, ogromne ucho, sterzące z gęstwiny włosów. Grzebał w porozrzucanych na biurku papierach. Podniósł głowę i spojrzał surowo na mnie. W rękę trzymał notatnik.

— Opowiem ci teraz o południowej Ameryce — przemówił. — Tylko bez uwag, bardzo proszę! Zapowiadam też, że to co ci powiem teraz, nie ma być ogłoszone w dziennikach bez mojego specjalnego pozwolenia. A tego pozwolenia, według wszelkiego prawdopodobieństwa, nie dam nigdy. Czy to jasne?

— Bardzo ciężki warunek — odrzekłem. — Ścisłe sprawozdanie, napewno...

Położył notatnik na stole i powiedział:

— Koniec! Żegnaj pana.

— Nie! nie! — zawołałem. — Przyjmuję wszystkie warunki. Zresztą, o ile rozumiem, nie mam wyboru.

— Nie masz, rzeczywiście.

— A więc... przyrzekam.

— Słowo honoru?

— Słowo honoru.

Popatrzał na mnie z wyrazem powątpiewania w zuchwałych oczach.

— A co ja wiem o pańskim honorze? — rzucił wyzywająco.

— Słowo daję, panie! — wykrzyknąłem z gniewem — zawiele sobie pan pozwala! Nigdy jeszcze w mojem życiu nikt mnie tak nie znieważał.

Przyglądał mi się bez gniewu, a z zajęciem.

— Krótkogłowy — mruknął. — „Brachoccephalus“; szare oczy, czarne włosy z domieszką rasy murzyńskiej... Celt, jak przypuszczam?

— Jestem irlandczyk!

— Tak panie, irlandzki Irlandczyk.

— To rozumie się wyjaśnia wszystko... Zobaczymy dalej. Dałeś mi słowo, że uszanujesz moje zwierzenia. Zwierzenie to, muszę nadmienić, nie będzie zupełne. Ale udzielę ci pewnych objaśnień nie bez znaczenia. Zapewne ci wiadomo, że przed dwoma laty zrobiłem wycieczkę do południowej Ameryki, wycieczkę, która będzie miała swoje miejsce w historii nauki. Celem mo-

jej wyprawy było sprawdzenie niektórych wniosków Wallasa i Batesa, czego można było dokończyć tylko, badając podane przez nich fakty, w tych samych warunkach, w których oni je studyowali. Gdyby moja wyprawa nie osiągnęła żadnych wyników, już byłaby godna uwagi, ale dziwny wypadek, jaki mi się zdarzył podczas pobytu w tamtejszym kraju, stworzył nowe widnokreśli dla badań.

Wiesz zapewne, a raczej w tej epoce napół oświeconych ludzi prędkiej nie wiesz, że kraje położone w promieniu Amazonki są zaledwie częściowo zbadane, i że mnóstwo dopływów w znacznej części nie oznaczonych na mapach, wpada do tej rzeki. Zamierzałem zwiedzić te ustronne krainy i zbadać ich faunę, dla zdobycia materiału do wielkiego, pomnikowego dzieła z zakresu zoologii, które będzie usprawiedliwieniem mojego żywota.

Wracałem już po skończonej pracy, spędziłem noc w małej wiosce indyjskiej, tam, gdzie jeden dopływ, miano jego i miejscowości zatrzymuję przy sobie, wpada do Amazonki. Mieszkańcy tamtejsi należą do szczepu indyjskiego „cucama”; lud sympatyczny, ale w upadku, z umysłem niewiele więcej rozwiniętym od umysłu przeciętnego londyńczyka. Kiedym szedł w górę rzeki, udało mi się uleczyć wielu z nich, czem wzbudziłem wielkie uznanie dla mojej osoby. Nie zadziwiłem się więc ich serdecznym przyjęciem gdy powracałem. Z ich znaków wyrozumiałem, że ktoś gwałtownie potrzebuje mojej lekar-

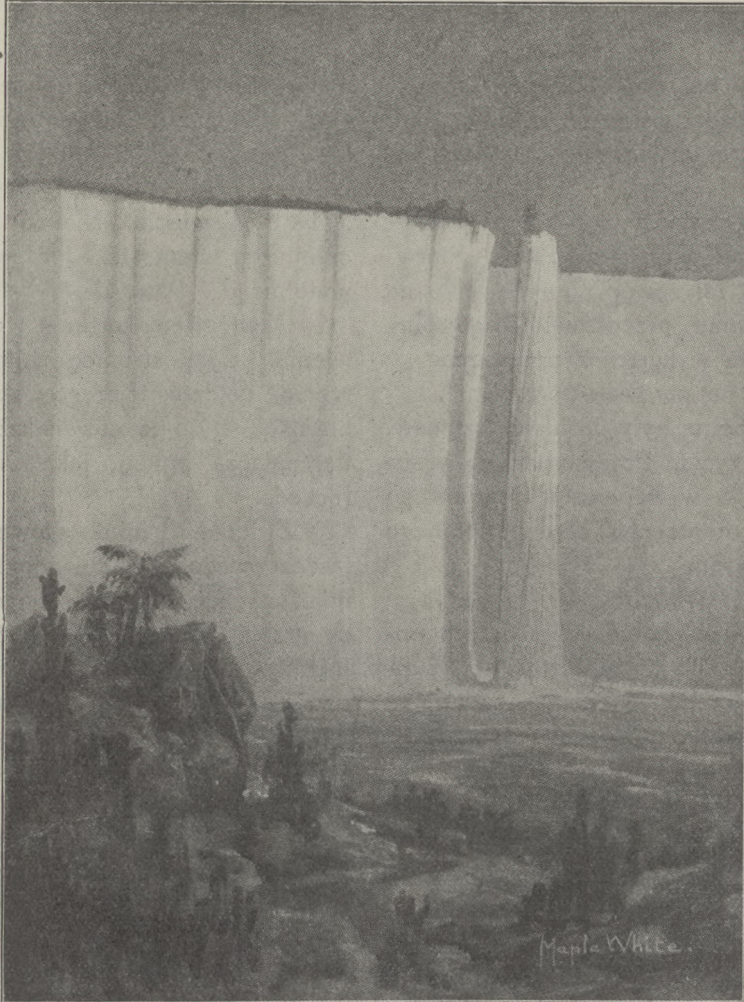
skiej pomocy i poszedłem za wodzem szczepu, do jego chaty. Wszedłszy do wnętrza, zobaczyłem że chory, do którego mnie wezwano, już nie żyje. Ale przekonałem się z niemałym zdziwieniem, że nie był to indjanin, lecz biały człowiek; mogę nawet powiedzieć, że bardzo biały, bo włosy miał koloru konopi i niektóre cechy albinosa.

Odziany w łachmany, bardzo wychudzony, nosił ślady długich i ciężkich trudów. O ile zdołałem wyrozumieć z opowiadania indjan, był on tu zupełnie nieznan, przybył do ich osady sam, z głębi lasów, w stanie ostatecznego wyczerpania.

Torba zmarłego leżała przy posłaniu, przejrzałem jej zawartość. Nazwisko jego wypisane było wewnątrz: „Maple White, Lake Avenue, Detroit, Michigan. Przed tem nazwiskiem zawsze uchylę kapelusza... Wystarczy gdy powiem, że stanie ono obok mojego, kiedy o-

statecznie cała ta sprawa uzyska wiarę i uznanie, na jakie zasługuje.

W torbie znalazłem dowody, że ten człowiek był artystą i poetą, poszukującym wrażeń. Były tam i urywki wierszy. Nie mogę się uważać za sędziego w takich rzeczach, ale wydały mi się dziwnie bezwartościowe. Były prócz wierszy i wspólne szkice krajobrazowe, z pobrzeża rzeki, pudełko z farbami, pudełko kolorowych kredek, pędzle, ta zakrzywiona kość, która leży przy moim kałamarzu, tom dzieła Baxtera „Ćmy i motyle“, tani rewolwer i trochę nabożów. Osobistych pakunków nie miał, lub może postradał je w po-



Skąły te, ciągnęły się zwartą ścianą na ostatnim planie szkicu.

dróży. Oto wszystko, co pozostało po tym zagadkowym, amerykańskim wędrowcu.

Miałem już odejść, gdy zobaczyłem, że coś wystaje z kieszeni jego podartej kurtki. Było to album ze szkicami, tak zniszczone jak je teraz widzisz. Upewniam cię, że pierwsze wydanie Szekspira nie byłoby więcej szanowane, niż ta relikwia, odkąd dostała się w moje ręce. Oddaję ją tobie, z prośbą o przejrzenie kartki za kartką i zbadanie treści.

Profesor sięgnął po cygaro i oparł się wygodnie w fotelu, śledząc groźnym i badawczym wzrokiem, jakie wrażenie wywrze na mnie ten dokument.

Otwieram album z nadzieją jakiegoś odkrycia, którego natury nie określiłem bliżej. Pierwsza stronica sprawiła mi zawód, bo nie było na niej nic, oprócz rysunku przedstawiającego bardzo otyłego człowieka w kurtce z podpisem:

„Dziwny Colver na parowcu portowym“.

Dalsze stronice pełne były drobnych szkiców, indjan i scen z ich życia. Potem rysunek wesołego i otyłego księdza w kapeluszu łopatego kształtu, siedzącego naprzeciw bardzo dumnego Europejczyka z podpisem:

„Śniadanie z Fra Cristofero w Rosaria“.

Dalej szkice postaci kobiecych i dzieci, poczem następowała już nieprzerwana serya rysunków zwierząt z takimi objaśnieniami: „Manatee na ławicy piaszczystej“, „Żółwie i ich jaja“, „Czarny Aguti pod palmą miriti“. Zwierzę podobne do prosięcia, na zakończenie, dwie stronice studjów bardzo niemiłych jaszczurek, z długimi szyjami. Nic z tego nie mogłem zrozumieć i powiedziałem to szczerze profesorowi.

— To zapewne krokodyle? — spytałem.

— Aligatory! aligatory! W południowej Ameryce niema prawdziwych krokodyli. Różnica między nimi...

— Ale ja nie zauważyłem żadnej wybitnej różnicy, nic coby usprawiedliwiało pańskie słowa...

Uśmiechnął się pogodnie.

— Obejrzyj następną stronicę — powiedział.

I tem nie mogłem się zachwycić. Całą stronicę zajmował krajobraz, surowo podmalowany kolorami; rodzaj szkicu, jaki artyści robiący studia na otwartym powietrzu, zachowują sobie jako podstawę, do przyszłego wykończenia obrazu. Błada zieloność, tło pierzastych roślin pierwszego planu, podnosiło się stopniowo w górę zakończone pasmem ciemno-czerwonych skał, podobnych do bazaltowych formacji jakie znałem. Skały te

ciągnęły się zwartą ścianą na ostatnim planie szkicu. W jednym miejscu strzelała z nich do góry odosobniona skała, kształtu piramidy, zakończona na szczycie wielkim drzewem, a oddzielona od głównego pasma głęboką rozpadliną. Nad tem wszystkim, błękitne, podzwrotnikowe niebo. Wątła, zielona linia zarośli, ciągnęła się na grzbiecie skalistego pasma.

— No i cóż? — spytał profesor.

— Bez żadnej wątpliwości pasmo skaliste niezwyklej formacji — odrzekłem. — Ale nie jestem geologiem i nie potrafię orzec, na czem polega jego nadzwyczajność.

— Nadzwyczajne! — powtórzył profesor. — Jedyne w świecie. Nie do uwierzenia. Nikt na całej kuli ziemskiej nie mógłby wymarzyć nic podobnego. Patrz dalej!

Odwrociłem kartkę i wykrzyknąłem z zadziwienia. Całą stronicę zajmował rysunek zwierzęcia, najdziwniejszego, jakie można sobie wyobrazić. Było to coś nakszałt sennych widziadeł palacza opium, jakieś majaki chorego w gorączce...

Zwierzę to miało głowę ptaka, cielsko odęte jaszczurczego kształtu, wlokący się po ziemi ogon najeżony kolcami, zwróconymi do góry i zgarbiony grzbiet, pokryty zębatą frendzlą, podobną do mnóstwa kogucich grzebieni, umieszczonych jeden za drugim. Przed tem bajecznem stworzeniem stał śmieszny manekin czy karzełek, ludzkiego kształtu i wpatrywał się w potwora...

— No! i cóż myślisz o tem? — wykrzyknął profesor, zacierając z tryumfem ręce.

— To jest potworne... śmieszne... niesłychane!

— Ale co go skłoniło do namalowania tego szkicu?

— Wódka — jak przypuszczam...

— O! czy to jedyne tłumaczenie, jakie możesz znaleźć? Co?

— A czemże pan to objaśnia?

— Tem, że widocznie takie zwierzę istnieje. I że było naszkicowane z natury.

Byłbym się roześmiał, gdyby nie wspomnienie i obawa nowego „wiatraka“ wzdłuż korytarza.

— Zapewne! — potakiwałem, jak się potakuje warjatowi — zapewne! Wyznaję jednak — dodałem — że ta mała figurka jest dla mnie zagadką. Gdyby to był indjanin, możnaby to uważać za dowód, że w Ameryce istnieje rasa karłów, ale to widocznie Europejczyk w kapeluszu od słońca.



...I przyleciał wiatr od chaty
 Poprzez knieje:
 Puk, puk! Tam już sadzą kwiaty.
 Stary kasztan, jak przed laty
 Zielenieje.
 Puk, puk!

A w odpowiedź wichrom całą,
 Drżąc w rozterce,
 Pragnąc wiele, mając mało,
 Z za okienka zapukało
 Z cicha serce...
 ...Puk, puk...

* * *

...I przyleciał wiatr od pola
 Do okienka:
 Puk, puk! pachnie świeża rola,
 W kotki stroi się topola,
 W kwiat — wisienka.
 Puk, puk!...

...I przyleciał wiatr od łąki
 Rozśpiewany:
 Puk, puk! Jak tam brzęczą bąki
 Jak tam górą ciągną słonki
 I bociany.
 Puk, puk!...

Wichry! Lepiejby was w pole
 Nie puszczali tak na wolę!
 Lepiejby wam strzedz już chaty
 I porankiem pieścić kwiaty;
 Lepiejby wam igrać z chmurą
 I skowronki nosić górą,
 Z wiatrakami iść w zawody
 I na stawach marszczyć wody.
 Lepiej w borach chłodzić wrzosa,
 Z ziół wypijać krople rosy,
 Przesypywać piasek suchy
 I z drzew kwietne strząsać puchy.
 Cóż wam z tego, że wpadniecie,
 Po calutkim błędząc świecie,

Między mury, w studnię czarną,
 By tęsknoty rzucić ziarno?
 Czemuż, kiedy w innej stronie
 Nagle znany wiatr zawionie,
 To na skrzydłach swych przyniesie
 Rozproszone wonie w lesie,
 I pszenicznych pól oddechy
 I wołanie starej strzechy
 I w kominach moje żale
 I odwiecznych wspomnień fale.

.
 Ach! i gdyby trumny wieko
 Zapadało gdzieś daleko
 Nad tym, co był z tego kraju,
 A wiatr powiał mu, jak w maju
 I u martwej rzucił głowy
 Kwiat jabłoni — wpół różowy,

Nie dziw byłby, nie dziw u mnie,
 Gdyby martwy zadrżał w trumnie
 I wskrzeszone wspomnień siłą
 Serce, jeszcze raz zabiło.

...I przyleciał wiatr od pola
 Do okienka:
 — Puk, puk! pachnie świeża rola,
 Już wiosenka!

A w odpowiedź wichrom całą,
 Drżąc w rozterce,
 Z za okienka zapukało
 Z cicha — serce...

Kurpianka.

Sposoby przenoszenia się z miejsca na miejsce.

Na samym początku dziewiętnastego wieku, wyłącznie używano na lądzie stałym wozów, poruszanych siłą zwierzęcą, na morzu zaś wioseł i żagli.

Nikt nie słyszał o kolejach żelaznych ani o statkach parowych. Jeżeli komuś zależało na tem, żeby odbywać szybko podróż, to jechał tak zwanymi rozstawnymi końmi, żeby jaknajmniej czasu tracić na odpoczynki.

Pomiędzy większymi miastami chodziły w regularnych odstępach czasu karetki pocztowe, zwane z cudzoziemska dyliżansami. Podróżny w takim dyliżansie robił mniej więcej po piętnaście wiorst na godzinę, a najwyżej dwadzieścia i to się nazywało szybką jazdą!

Istniały oddawna trakty pocztowe, ale nie były one tak dobrze utrzymane, jak dzisiejsze drogi bite, czyli szosy. Na drogach publicznych, obecnie prawie pustych, panował dawnymi czasy ruch bardzo ożywiony, co chwila rozlegała się trąbka pocztyliona, i przez wioski przesuwały się dobrym kłusem karetki pocztowe, naładowane walizami. Przy ważniejszych postojach były zajazdy, oberże, gdzie podróżni zatrzymywali się na spoczynek po utrudzającej drodze.

Dziś po tem wszystkiem pozostał zaledwie nikły ślad w postaci małych, ciasnych i nieznośnie się wlokących pomiędzy nieznacznymi miastami karetek pocztowych i marnych zajazdów, gdzie się zatrzymują niechętnie ludzie jadący takimi karetkami, zaprzężonemi w liche konie.

Na wodzie nie wiele lepiej się działo. Stat-

ki żaglowe, zależne od widzimisię wiatru, posuwały się trzy i cztery razy wolniej nawet podczas przyjaznego wiatru, aniżeli dzisiejsze okręty, poruszane siłą pary.

Dość powiedzieć, że na przepłynięcie oceanu Atlantyckiego z Anglii do Ameryki północnej, potrzeba było kilkadziesiąt lat temu nie sześć dni, tak jak obecnie, ale całego niemal miesiąca.

Podobnie też na przejazd z Warszawy do Wilna naprzykład, podróżni zużywali 4 — dni, kiedy dziś tę samą odległość pociąg kolei żelaznej przebywa w ciągu 9 godzin!

Na wielkie odległości różnica ta jeszcze bardziej rzucała się w oczy. Kto chciał jechać do Rzymu, ten musiał znajdować się w podróży coś z miesiąc; obecnie zaś zajedzie tam koleją w dwie doby. Nic w tem dziwnego! Nietylko mamy koleje, ale i rozmaite inne ulepszenia; np. takie tunele, dzięki którym zamiast przedzierać się przez śnieżne wierzchołki Alp, przejeżdżamy w kilkanaście minut wewnątrz olbrzymich gór na drugą stronę pasma, oddzielającego włoską ziemię od reszty krajów europejskich.

Zobaczymy teraz, jak w ciągu ubiegłego stulecia odbywał się ten przewrót w sposobach przenoszenia się z miejsca na miejsce; przewrót zadziwiający, niesłychany w dziejach ludzkości, od którego rozpoczyna się nowa epoka w rozwoju narodów kuli ziemskiej. Zaczniemy zaś od żeglugi morskiej, bo na morzu najpierw zjawyły się ulepszone statki, poruszane siłą pary wodnej.

W 1806 roku amerykańnin, Robert Fulton, wpadłszy na pomysł, żeby zastosować znaną już podówczas maszynę parową do poruszania statków, zbudował pierwszy parowiec, i robił z nim próby na rzece amerykańskiej Hudson; łatwo wyobrazić sobie jakimi oczami patrzyli ludziska na takie dziwowisko; wzięli tak popospolity dziś statek parowy za sprawę złego ducha, a samego Fultona za czarnoksiężnika. Tak się zawsze dzieje, ilekroć zjawi się jakiś nowy nieznanый zupełnie przedtem wynalazek; ciemny naród, niezdolny do zrozumienia mechanizmu, nie przypisuje go rozumowi i przemysłowi ludzkiemu, ale potędze szatańskiej i w swoim zapędzie nedorzecznym rzuca się nieraz na zdobycze geniuszu ludzkiego, ażeby je zniszczyć. Na szczęście takich ciemnych ludzi jest coraz mniej na świecie, więc wynalazki rozwijają się bez przeszkody, ułatwiając życie człowiekowi.

Jak rzekliśmy, pierwszy statek parowy pływał nie po morzu ale po rzece. W Europie pierwszy parowiec, tak bowiem przez skrócenie nazwano statek parowy, zjawił się na rzece Klajdzie w Szkocji w roku 1812.

Musimy wspomnieć na tem miejscu, że wynalazca amerykański, dowiedziawszy się, iż cesarz Napoleon pragnie wysadzić na ląd w Anglii armię, przedstawił mu projekt swego statku parowego. Ale sam Napoleon nie potrafił ocenić doniosłości tego wynalazku i polecił zbadać uczonym francuskim jego praktyczność. Ale ci wydali następujące zdanie: Statek parowy nie ma żadnej przyszłości przed sobą i nie warto nawet robić prób, czy nadaje się on do żegluga po morzu. Gdyby zaś Napoleon nie posłuchał tego zdania ludzi niepraktycznych, to kto wie, czy nie wysadziłby swojej armii w Anglii i nie zawojowałby swojej nieubłaganej przeciwniczki.

To zdarzenie niech nas uczy, że nigdy nie można wydawać zdania nieuzasadnionego na doświadczeniu, że nie należy patrzeć podejrzliwie na wszelkie nowości, jeżeli nie chcemy narazić się na duże straty z odrzucenia rzeczy naprawdę użytecznej, którą później ktoś inny przyjmie i obróci na naszą niekorzyść.

Od owego czasu, w którym ukazał się w Europie pierwszy parowiec, żegluga parowa czyniła szybkie postępy, przekonano się o jej praktyczności. W roku 1817 parowce zaczęły pływać po Renie, w następnym roku po Dunaju, w r. 1819 zaprowadzono komunikację parową na morzu pomiędzy miastami Tryestem a Wenecją. W tym

samym roku stał się fakt niezmiernie ważny: oto na małym parowcu dokonano przeprawy przez ocean Atlantycki z Nowego Jorku do Liwerpułu w Anglii. Odtąd żegluga parowa na morzach czyniła szybkie postępy.

U nas w Królestwie Polskiem żegluga parowa na rzece Wiśle datuje się od 1848 roku, kiedy przedsiębiorca Giubert, otrzymawszy od Rady Administracyjnej Królestwa Polskiego koncesję na lat 40, puścił po matce naszych rzek pierwsze statki: „Księżę Warszawski“ i „Wisła“.

Jak zwykle początki były trudne; rzeka bowiem, jak wiadomo, ma wiele mielizn, jest nieuregulowana, i w razie suszy głębiej zanurzające się statki nie mogą pływać. Tak się też działo z wymienionymi parowcami, zbudowanymi na głębsze rzeki. Zrażony przerwami w komunikacji, a co za tem idzie stratami pieniężnymi, Giubert odstąpił swoje przedsiębiorstwo wraz z pozwoleniem towarzystwu kapitalistów, w którem znajdował się także Andrzej hr. Zamoyski. Nowe towarzystwo założyło na Solcu nad Wisłą fabrykę statków parowych, przystosowanych do stanu wód na Wiśle, i zbudowało 14 parowców, oraz 60 gabarów parowych. Statki te kursowały. Cena przejazdu wynosiła po kop. dwie i pół od wiorsty. Pierwszą klasą do Płocka kosztowało trzy rb. drugą dwa rb. Ale i nowe towarzystwo żegluga parowej nie cieszyło się powodzeniem; niebawem poniosło ono straty dosięgające miliona rubli, skutkiem tego rozwiązano je. Zamoyski wyjechał a statki sprzedano do Rosyi. Trzy z nich kupił Maksymilian Fajans, który do dziś dnia utrzymuje komunikację osobową na Wiśle. Prócz tego powstały inne przedsiębiorstwa, ale dopóki rzeka nie będzie uregulowaną, żegluga na niej nie będzie pewną i szybką, a co za tem idzie, nie przedstawia groźnego współzawodnika kolejom żelaznym.

Pierwsze statki parowe były w porównaniu z dzisiejszymi bardzo małe i źle zbudowane. Kotły ich nie mogły wytrzymać dużego ciśnienia pary, nieudoskonalone maszyny pracowały słabo, tak iż statki parowe, aż do 1830 roku mogły przepływać na godzinę nie więcej, jak dwadzieścia wiorst (12 mil morskich). Niedoskonałość maszyn i kotłów kazała żeglarzom zabierać bardzo duże zapasy węgla kamiennego na drogę; dziś jednak postać rzeczy zmieniła się, mamy bowiem bardzo silne, oszczędnie pracujące maszyny parowe, doskonałe kotły wytrzymujące bardzo wysokie ciśnienie, co pozwala na skrócenie

podróży i na robienie znacznych oszczędności na paliwie w porównaniu z tem co było dawniej.

Statki parowe pasażerskie, które są przeznaczone do bardzo szybkiej podróży dla zaoszczędzenia czasu, są dziś istnemi olbrzymami, miastami pływającymi, zaopatrzonemi we wszelkie wygody

Porusza je maszyna o sile dziesięciu, dwudziestu a nawet pięćdziesięciu tysięcy koni parowych. Jeżeli zważymy, iż jeden koń parowy równa się przynajmniej czterem koniom żywym co do siły, to będziemy mieli pojęcie, co to są kolosy te nowoczesne okręty, jeżeli do poruszania ich potrzeba aż tak wielkiej siły mechanicznej.

Zazwyczaj takie wielkie statki parowe mają nie jedną, ale dwie niezależnie pracujące maszyny, z których każda porusza śrubę znajdującą się z tyłu pudła okrętowego pod wodą. Śruba taka, metalowa z trzema skrzydłami, nadaje statkowi szybkość, która w najnowszych statkach dochodzi do 25 mil morskich na godzinę. Ponieważ zaś mila morska równa się półtorej wiorście z górą, przeto statek robi na godzinę około 40 wiorst, to znaczy, że jedzie z szybkością pociągu osobowego. Nic dziwnego, że przy takiej szybkości, podtrzymywanej przez niezmordowaną maszynę dzień i noc bez przerwy, podróż z Ameryki do Europy trwa zaledwie sześć i pół dnia! Dawniej zaś trzeba było na nią poświęcić kilka tygodni.

Nowoczesne statki budują przeważnie z żelaza, zamiast, jak dawniej z drzewa. Przekonano się bowiem, iż żelazo daje się łatwiej naginać do żądanych form, aniżeli drzewo, i że statki żelazne daleko są mocniejsze, niż zwoyczajne.

Pudło dzielią przegrodami nieprzemakalnemi na dziesięć, a nawet więcej komór. W razie uderzenia o skałę podwodną, albo o inną przeszkodę, przedziurawiony statek ma jeszcze czas dobić do brzegu.

Jeżeli zaś okręt zatonie, to podróżni niezawsze są zgubieni, bo mają do rozporządzenia łodzie, zaopatrzone we wszelkie potrzeby żeglarskie. Powinno ich być dość na pomieszczenie wszystkich. A pamiętajmy, że załoga wielkiego parowca oceanowego składa się z kilkuset osób: Marynarzy właściwych jest niewiele, bo zaledwie do pięćdziesięciu, żagle bowiem prawie wcale nie są używane dzisiaj, chyba przy sprzyjającym wietrze dla zaoszczędzenia paliwa; manewrować nimi nie potrzeba. Za to od palaczy i mechaników roi się na takich oceanowych kolosach.

Przy każdym kotle, a liczą ich na dziesiąt-

ki, stoi ze trzech palaczy, pracujących dzień i noc na zmianę. Oprócz starszego mechanika zwanego inżynierem okrętowym, jest kilku inżynierów młodszych, potem kilkunastu mechaników zwyczajnych, bo też maszyn parowych wszelakiego rodzaju na okręcie naliczyć możesz z pięćdziesiąt. Każda służy do czego innego: jedna wyciąga wielką kotwicę, przytrzymującą okręt do dna morskiego w porcie, druga porusza sterem, którego by ręka sternika nie potrafiła poruszyć, trzecia porusza maszyny, dostarczające prądu elektrycznego do oświetlenia całego statku, poczynając od pokładu a kończąc na samym spodzie, i tak dalej.

Na czele okrętu stoi kapitan, który ma władzę naczelną, przy nim kilku oficerów młodszych. Wszystko to są uczeni żeglarze.

Nie może być inaczej, bo do prowadzenia kolosu, który kosztował kilkanaście milionów, trzeba ludzi biegłych w swoim zawodzie. Najwięcej w załodze naliczyć można służby: lokajów, kucharzy, pokojowców i pokojówek, mających staranie około podróżnych. W samej kuchni stoi ze dwudziestu kuchcików, gotujących obiad, śniadanie i wieczerzę. A robota to nie lada jaka, jeżeli zważymy, iż na wielkich okrętach przewożą odrazu ze dwa tysiące podróżnych, poczynając od bogaczy, płacących za kajuty pierwszej klasy duże pieniądze a kończąc na ubogich emigrantach, mieszczących się we wspólnych salach. Wszystkim zaś trzeba dać jeść trzy razy na dzień, albo i częściej.

Podróżni zgromadzają się przy stole wspólnym. Ci co jadą kajutami klasy pierwszej—w salonie okrętowym, urządzonym zwykle nadzwyczaj wspaniale i bogato, kapiącym od złota jedwabi, obrazów, mającym sufit oszklony i t. p. zbytki.

Wogóle kto jedzie na takim pierwszorzędnym statku, ten nie zazna żadnej niewygody, dadzą mu dobrze jeść i pić a nawet pozwalają się zabawić. W salonie jest fortepian organki i inne instrumenty: w pokojach do palenia szachy i gazety, na pokładzie długim, jak kawał drogi, można spacerować i przyglądać się morzu, albo grać w rozmaite gry towarzyskie np. w piłkę. Bogato zaopatrzone w książki i pisma wszelkiego rodzaju czytelnia skraca także czas podróży nie tak zresztą długi, bo jak powiedzieliśmy na przeprawę z Europy do Ameryki potrzeba dziś zaledwie 7 dni.

Sprzymierzeńcy.

POWIEŚĆ Z ROKU 1812.

(Ciąg dalszy)

Z. MORAWSKA.

Napoleon przez chwilę wsłuchiwał się w tę muzykę.

— Nasi! — krzyknął, z pewnem rozradowaniem.

Wkrótce jednak sposepniał.

— Odpierają nieprzyjaciela... jeżeli nam go sprowadzą?...

I nie dokończył zaczętej myśli.

— Okrążyć wawóz, iść przez pole!

I zawrócił konia, ale i tu lepiej nie było.

Tyle tylko, że konie nie brnęły po brzuchy.

Wyrwały za to zmarznięty śnieg kopytami, kalecząc nim tych, co byli przed nimi.

Dobrze już było po północy, gdy przybył wysłany na zwiady oddziałek, złożony z trzech szeregowców i oficera.

Ten zdawał raport:

— Korpus włoski po stoczonych bitwach przybywa; nieprzyjaciela nigdzie w pobliżu niema.

Rzeczywiście strzały od niejakiegoś czasu umilkły.

— Zatrzymać się, rozłożyć ogniska...

Rozkaz był łatwy, wykonanie trudniejsze.

Rozłożyć ogniska...

Ale skąd tu wziąć drzew, choćby mokrych gałęzi?

Pole jak sięgnąć okiem białe i białe...

Nadzieja ożywczego żywiołu tak gorąco przejęła wszystkich, iż zaczęto wyteżać wzrok, czy nie odnajdą gdzie jakiej krzewiny.

Jakaś ciemna plama zamajaczyła w oddali.

Kilku żołnierzy kopnęło się ku niej.

Było to kilka chat i dość duża obora opuszczona przez mieszkańców.

— Dach, schronienie! — zawołał któryś z radością.

— Wpuszczą cię do niego, będziesz widział! — rzucił ktoś niechętnie.

— Wejdzie cesarz i jego gwardya; my będziemy marznąć jak psy! — dorzucił inny.

I poczęto wyrwać deski.

— Ani mi się ważyć! — zagrział głos rozkazujący.

Był to głos Marcina, kucharza.

— Cesarz się schroni, no i kto będzie mógł. My mamy szycie drzewa i chrustu!

I zabębnił szpadą w ułożoną wysoko, dużą warstwę drzewa.

Odpowiedziało głuchym zmarzniętym łoskotem.

— Dwóch zostanie, my zaś pojedziemy zawiadomić armię o znalezionem schronieniu.

Jakkolwiek Marcin był takim samym szeregowcem jak inni, posłuchano go jakoś!

— Rozłożyć ogniska, napalić w chacie dla cesarza! — zawołał odjeżdżając.

Gdy przybył do wlokącej się armii, zastał w niej ruch jakiś.

To korpus włoski się przywłókł.

Przywłókł się z wielkimi stratami.

Stracił całą artylerię.

Przyniósł tylko wiadomość, że nieprzyjaciel oddalił się w przeciwnym kierunku.

I nie wiedzieć, czy ta wiadomość, czy też nadzieja jakiegoś takiego schroniska rozchmurzyła lice władcy.

Koń jego brnął po śniegu w kierunku, skąd dym wznosił się słupem w górę i migotały rozpalone ogniska.

Wszedł do chaty, stanął przed ogniem, buchającym z wielkiego komina, założył w tył ręce i wpatrywał się w czerwono-żółte płomyki.

Po chwili rzekł:

— Zaczekamy tu na marszałka Ney'a.

Ogniska na polu szeroko buchały.

Na poły zmarznięte szeregi wielkiej armii grzały się przy nich, warząc jednocześnie w zawieszonych kotłach skromny posiłek.

Nadciągnęły i wozy lazaretowe.

Ci, co mogli się zwlec z nich powychodzili, aby rozprostować członki. Siedli przy ogniskach.

Widok głów obwiązanych, rąk na temblakach, nóg odzianych w szmaty, któremi były zabezpieczone ich rany, nadawał nader smutny charakter obozowi.

Zdawało się, że to gromadka nędzarzy—żebaków wraca z jakiegoś nieudanego odpustu.

Pośród nich był i Olszak.

Rana zablizniająca się prędko dodawała mu otuchy.

To też gdy inni, wdychając słabym głosem, wróżyli sobie smutną przyszłość. Olszak zawołał wesoło:

— Poco mówić, że źle z nami! wszystko się jeszcze naprawi!

I zaśpiewał dość silnym głosem:

Furda rany, niewygody!
Furda mrozy i pan głód,
A czy stary, czy to młody,
Będzie jeszcze wroga gniół.

Trara, rara, tatata — ta!

Gdy się z ran tych wygoimy
Pójdziem śmiało, pójdziem wraz,
Wroga w marszu dogonimy,
Bo są zuchy tęgie z nas.

Trara-ra, ra, trara, ra!

Najpiękniejsza to komnata
Strop niebieski pełen gwiazd;
Przejdziem jeszcze kawał świata,
I wrócimy do swych gniazd.

Trara, tra — ra — tratarra!

Lica smutne, znękanie poweselały. Uśmiechano się przez łzy.

I przez łzy powtarzano:

Trara — rara tra — rara!

Nie jeden wszakże przy wspomnieniu „swoich gniazd“ głośno zaszlochał.

XIX.

SPRZYMIERZEŃCY.

Książę Józef, oskrzydłony przez liczne rosyjskie szereg, z nadzwyczajną zaciętością staczał z nimi rozpaczliwą walkę.

W jednej chwili powziął myśl nader szczęśliwą:

— Nie pozwolę posuwać się w głąb naszego szlaku; postaram się przebić przez ich szeregi; inaczej szliby za znękaną armią Napoleona... Mam przecież czuwać nad jej bezpieczeństwem! — myślał.

I myśl swoją wprowadził w czyn.

Zakomenderował więc:

— Przebić się przez szeregi nieprzyjacielskie w tym kierunku, skąd przyszli.

I z dobytą szablą rzucił się naprzód.

Jenerał Płatow nie spodziewał się tego obrotu. Musiał zmienić wydane przed chwilą rozkazy.

Zamiast nacierać, trzeba było odpierać wpadającą jak wichur dzielną garstkę księcia Poniatowskiego.

Poplątało to szyki rosyjskiego dowódcy.

Chciał dotrzeć do głównej armii, musiał iść w kierunku odwrotnym.

Pomysł nagły, szalony, nieustraszone męstwo wodza, dodawało odwagi szeregom księcia Poniatowskiego.

Wdzierali się w zdumione tym obrotem wojsko nieprzyjacielskie.

Poszczególni dowódcy oddziałów rosyjskich nie wiedzieli co czynić.

Odebrany poprzednio rozkaz kazał im iść naprzód... Teraz?...

Karność wojskowa, utrzymywana z nadzwyczajną ścisłością w szeregach rosyjskich, nie pozwalała im pod żadnym pozorem zmieniać rozkazów.

Szeregi szły naprzód.

Nim doleciał powtórnym rozkaz, książę Józef zdołał nie tylko szeregi lecz i działa wprowadzić w sam środek kolumny.

Szedł jak zwycięzca po trupach i ciałach charczących ostatniem konaniem nieprzyjaciół.

Gdy rozkaz wydany przez Płatowa zwrócenia się w inną stronę, doleciał do dowodzących oddziałami, nim ciężki, obładowany żołnierz uczynił właściwy zwrot, Poniatowski, szerząc zniszczenie, był już bliskim zupełnego przedarcia się przez sam środek szeregów Płatowa.

Działa nie próżnowały. Wśród piekielnej muzyki, rzucały potężne pociski.

Charcząc i plując przerzedzały szeregi nieprzyjacielskie.

Książę Józef, idący wciąż naprzód, z rozkoszą ujrzał szerokie, białe pole nieobsadzone nieprzyjacielem.

— Co będzie, to będzie! — pomyślał.

I kazał skierować działa ku idącym za nim wojskom Płatowa.

Spojrzał na swoich. Dużo ich brakowało.

Garść nieustraszonych prażyła nieprzyjaciela.

D. c. n.

Wesoły kącik.

POWINSZOWANIE.

Mały Jaś niedawno nauczył się pisać, i jest z tego, naturalnie, bardzo dumny. Żeby się pochwalić przed krewnymi tą trudną sztuką, zasypuje wszystkich wujaszków i ciotce własnoręcznie nakreślonymi pocztówkami. Babci posłał życzenia piśmienne na Nowy Rok i Wielkanoc, a do jakiejś kuzynki, to, co następuje:

— Kochana Cioteczko, Jaś życzy ci, z całego serca wesołego i szczęśliwego „Wniebowstąpienia“.



Z lotnictwa.

We wszystkich dotychczasowych wzlotach na wielkie przestrzenie, Francja otrzymywała palmę pierwszeństwa tak ze względu na nieustraszoną swoich nadpowietrznych żeglarzy, jak i hojnego ich wynagradzania. Obecnie dziennik paryski „Matin” ogłosił nowy rekord lotniczy, najdłuższy i najbardziej od poprzednich niebezpieczny, gdyż linja drogi rozciąga się do 13,000 kilometrów. Trzeba przebyć samolotem z Pekinu do Paryża w oznaczonym terminie, od 1-go września do 1-go listopada. Obowiązujące stacje, w których ma się dokonywać kontrola przez członków Aero-klubu, przypadają na miasta: Unga, 14 września, Irkuck 21, Omsk 28, Moskwa 12 października, Warszawa 75, Wiedeń 19, Genua 25, Paryż 1-go listopada. Liczba zgłaszających może być dowolna, ale nie mniej jak pięciu; zapisy trwają do 16 czerwca, różnicy w narodowości niema. Nagród wyznaczonych przez redakcję „Matin'a” jest 5; pierwsza: 100,000 franków, druga 25,000, a trzy równe po 10,000. Gdyby żaden lotnik nie zdołał dopełnić warunków podanych, wtedy komitet sędziów wypłaci 50,000 fr. temu, kto przed 2-im listopada znaj-

dzie się w punkcie najbliższym Paryża, ale już leżącym na zachód od Omska. Reperacje można skutecznie częściowo, zmiana jednak samolotu podczas podróży jest wzbroniona.

Na placu ćwiczeń wojskowych w Bracciano (Włochy) odbyły się próby ze świeżo wykończonym balonem „M 1”, który, jako powietrzny okręt, nowego pomysłu, ma służyć do celów wojennych. Balon ten jest zaopatrzony w dwa działa maszynowe i dwie rury do wyrzucania torped powietrznych, których działanie, jak zapewniają dzienniki włoskie, dało najpomysłniejsze wyniki. W ciągu bieżącego miesiąca pierwszy tego rodzaju okręt, gotów do podróży we wszystkich szczegółach, będzie posłany na wyspy morza Egejskiego. Hr. Zeppelin, a raczej jego wynalazek: balon sterowy osiągnął świeże tryumfy w Niemczech. Puszczony w powietrze z nad jeziora Badeńskiego, w pobliżu miasta Konstancyi 1-go czerwca, przybył do Hamburga, po 12-godzinnym żeglowaniu, bez żadnego szwanku. Tłumy publi-

czności, z ks. Henrykiem pruskim na czele, witały z wielkim zapalem wynalazcę, który osobiście kierował balonem, doczekawszy się powodzenia po kilku poprzednich niefortunnych próbach.

Ratastrofa.

Niema tygodnia, żeby dzienniki nie zaznaczyły tragicznej śmierci którego z odważnych podróżników próbujących udoskonalać żeglugę nadpowietrzną. Ostatni wypadek, zgoła nieprzewidziany, sprawił tem większe wrażenie, że zginęli nie tylko lotnik Fisher, Anglik, ale i słynny milioner amerykański Mason. Na lotnisku Brooklands, pod Londynem, przy wspaniałej pogodzie, w obec tysiący widzów, aeroplan Fishera z tym jednym pasażerem wznosił się w powietrze na wysokość 80 stóp. Zatoczywszy kilka kręgów w górze, nagle samolot zachwiał się, bez widocznej przyczyny, przewrócił i runął jak kamień na ziemię. Ze zdruzgotanego zbiornika benzyny tryskały płomienie i ogarnęły lekkie skrzydła przyrządu. Fisher i Mason wylecieli z miejsc swoich o kilkanaście kroków dalej, ze złamanymi karkami i zmiażdżonym ciałem. Wszelka pomoc okazała się daremną.



Ś. p. Wilbur Wright; z lewej strony jego pierwszy samolot bez motoru, z prawej pierwszy samolot z motorem.



Żal mi was, pisklęta uwięzione w mieście, bo wyfrunęłam na wieś i pełną piersią używam roskoszy wiosennego powietrza, słucham świergotu ptaków, patrzę jak dokoła mnie rosną bujne zboża, na chleb dla głodnych rzesz. Będzie czem pożywiać ciała, tylko czy nie braknie pokarmu duszom? pytam z obawą. Bo oto jeden po drugim kładą się na sen wieczny przewodnicy i budziciele narodu i murawa wiosniana coraz nowe a drogie polskiemu sercu porasta groby.

Boleśnie liczyć straty paru ostatnich lat. Odszedł od nas ś. p. Mieczysław Brzeziński, odeszła Konopnicka i Orzeszkowa, teraz z kolei ciało Bolesława Prusa złożyliśmy do grobu. Nie moja rzecz wyliczać zasługi wielkiego pisarza, którego niektóre nowele znacie już pewnie, a wkrótce poznacie przepiękne powieści, jak nie moja rzecz zachęcać was pisklęta do naśladowania jego autorskiej działalności. Ale rzesze idące za trumną Prusa płakały nie tylko za stratą genialnego autora. Prus, prócz talentu, który rzadko komu przypada w udziale, miał na wskroś polskie miłujące ojczyznę serce, takie na Prusa modłę ukute, trzeba abyśmy wskrzesili w sobie, tę spuściznę obywatelskich cnót wzięli na pamiętkę po zmarłym. Nie wystarczało mu pisanie dzieł przepięknych i pożytecznych, więc większą część życia rozmiętał na ciągłe wojowania o lepsze jutro dla swych rodaków. Chciał ich widzieć zamożnymi, to też słowem i piórem zachęcał do pracy, do zakładania instytucji i stowarzyszeń wytwórczych, schludnymi, a co zatem idzie zdrowymi, więc popierał higieniczne zamierzania, chciał zwłaszcza widzieć współobywateli swych cnotliwymi i godnymi szacunku u innych narodów, zatem jak bojownik niestrudzony natchnionymi a pełnymi miłości słowa budził w społeczeństwie poczucie honoru i zamiłowanie obowiązku, od najskromniejszego do najdosłojniejszego gdzie i na jakiegokolwiek placówce postawił nas życie.

Takim był Prus i takiego hetmana płacze naród, a że płaczą go wszyscy, mam dowód w liście *Słonecznika*. *Słonecznik* pisze, żałując zgasłego autora, wybrał sobie nawet dlatego pseudonim, że jak „kwiat za słońcem zawsze zwracać się będzie za duchem Prusa“ którego znał z kronik drukowanych w „Tygodniku Ilustrowanym. Czyż to nie piękny hołd oddany zasłudze? Ja życzę *Słonecznikowi*, aby swą cząstkę spuścizny po wielkim obywatelu rozmnożył na czyny miłości bliźniego; życzę, niech tysiące dobrej woli *Słoneczników* przez pamięć na Prusa stworzy pułk bojowników cnoty. Zapisujcie się pod znaki tego pułku, ochotnicy drodzy, duch Prusa będzie szczęśliwym z zaświatami, jak szczęśliwą uczuła się Jaskółka widząc liczne rzesze młodzieży za trumną szlachetnego głosiciela wielkich haseł postępu.

A ty, *Polku Skolarczyku*, czy byłeś na pogrzebie Prusa? czy znasz zasługi zmarłego? Właśnie w warsztatach ma on prawo do czci i wdzięczności, bo umiał cenić wartość rzemiosła i budził uszanowanie dla pracy. Salwator Roza, *Polku*, był sławnym malarzem, co zaś do książki Bukowskiej „Młotem i kielnią“ to dobrze zrobisz, czytając najprzód „Dzieci Warszawy“ tej samej autorki, gdyż dwie te powieści stanowią jak gdyby jedną całość. Poetą, *Polku*, jest każdy kto kocha piękno i dobro, słusznie więc siebie także uważasz za poetę. Władkowi podziękuj za rysunek; powiedz mu tylko, że nigdy człowiek nie stawia nóg w dwie strony świata jakby jedną szukał bieguna północnego a drugą chciał na południowy skoczyć. Ale to nic, takie błędy zdarzają się początkującym artystom.

Śliczny pseudonim wybrałaś sobie, *Niezapominajko*, dla odróżnienia jednak od innych tego samego imienia korespondentek, pozwól, że pisać będę „*Niezapominajka z Warszawy*“ a donieś mi dużo szczegółów o twojem życiu na pensyi.

Kochanym *Trzem siostram z nad Bałtyku* jak też i *Sennej Mgły*, z siostrą *Hanką* a także dobrej dawniej znajomej *Polnej Różyczce*, *Nocy księżycowej* i *Złotemu Słońcu* przesyłam w swoim i *Zosi* — *Iskierki* imieniu najserdeczniejsze podziękowania za miłe i drogie ich dla nas życzenia, chociaż odebrałam je na wsi bardzo późno, więc i podziękowania moje spóźnione.

Diabli tuzin! Nie ma chyba mniej właściwego pseudonimu, bo moja kochana korespondentka w niczem nie podobna do dyabełka, lubi tylko zadawać tuzin pytań. Odpowiadam zatem. 1-o że domysł co do mego nazwiska prawdziwy. 2-o że nie tylko znałam Józję i Wańdzię, ale żyją one dotąd, 3-o że nie pisuję powieści do „*Wieczorów*“, gdyż cały mój czas oddaję wychowaniu *Zosi Iskierki*. 4-o że bardzo pragnę cię poznać, 5-o że radzę napisać do p. Aliny, gdyż robi jej to z pewnością przyjemność, 6-o wreszcie, że nie znam twej cioci, czego bardzo żałuję. Oto już pół tuzina odpowiedzi, resztę zostawiam do następnego listu.

Mogłabym cię zapomnieć, *Groźna Mścicielko*, czy naprawdę tak mało ufasz mojej przyjaźni? *Świąteczko* nie posadziłoby starego ptaka o taką brzydką bezmyślność. Niech Bóg błogosławić raczy twej drodze, dobre pisklę, a ty dotrzymaj słowa i napisz obszerny list o sobie i siostrach.

Oczekuję z niecierpliwością spełnienia obietnicy, *Jesienna Mgła*, fotografie dobrego pisklęcia i wiadomość o pomyślnie zdanym egzaminie, toż to radość. Staremu ptakowi ubywa siwych piórek w miarę jak nadchodzą dobre wieści o 5 i 4 od korespondentów. Oby tak wszyscy się popisali jak ty i twoje koleżanki.

Dar bezcenny spotkał Jaskółkę. Oto kochana *Polna Różyczka* ofiarowała mi swoje serce, a ja znam wartość tego złotego serduszka, to też przyjmuję je z wdzięcznością i prosić będę Boga o zdrowie dla ciebie *Różyczko*.

Wasza Jaskółka.

**BIURO NAUCZYCIELSKIE
M. BALIŃSKIEJ.**

Poleca: nauczycieli, nauczycielki,
bony, freblanki, ochroniarki.

Widok 13, tel. 77-34.

20. 118. 6.

**ZARŁADY GRAFICZNE
B. WIERZBICKI i S-KA**

WARSZAWA, CHMIELNA 61.

46-73 TELEFONY 92-30.

KLISZE DO DRUKU JEDNO
I WIELOBARWNE.

DRUK TRÓJBARWNY.

DRUKARNIA ARTYSTYCZNA.

CHROMO I FOTOLITOGRAFIA.

ŚWIATŁODRUKARNIA.

KILOMETRO-FOTOGRAFIA.

RYSOWNIA.

TRĘŚĆ № 25. Zaginiony świat, przez
Conan Doyle (z 1 ryc.). — * * * przez
Kurpiankę (z 1 ryc.). — Sposoby prze-
noszenia się z miejsca na miejsce, przez
W. U. — Sprzymierzeńcy, przez Z. Mo-
rawską (z 1 ryc.). — Wesoły kącik. —
Z pięciu części świata (z 3 ryc.).

DZIAŁ DLA DZIECI. Włochy, przez
M. G. (z 1 ryc.) — Prawdziwe bogac-
two. — Polowanie na lwa (z 1 ryc.) —
Zale Hanusi, monolog, przez Helenę Bo-
jarską.

BLIZKO PÓŁTORA WIEKU ISTNIEJE
NAJSTARSZY POLITYCZNY DZIENNIK POLSKI
GAZETA WARSZAWSKA

ZAŁOŻONA W 1774 ROKU.

„Gazeta Warszawska“ stawia sobie za główny cel dostarczanie
dokładnych, bezpośrednio ze źródła czerpanych informacji
o sprawach ogół polski obchodzących i oświeclanie ich ze sta-
nowiska interesów narodowych polskich.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA, SZPITALNA 14.

TELEFON REDAKCYI 88, ADMINISTRACYI 25-51, DRUKARNI 172-28.

SKRZYŃKA POCZTOWA 257.

RACHUNEK PRZEKAZOWY Nr 14 W BANKU TOW. SPÓŁDZIELCZEGO.

CENA PRZEDPŁATY:

W Warszawie:	
rocznie	rb. 9.00
półrocznie	4 50
kwartalnie	2.25
miesięcznie	—75
za odnośnienie do domu 10 kop. miesięcznie.	
Z przesyłką pocztową:	
rocznie	rb. 12.—
półrocznie	6.—
kwartalnie	3.—
Za granicą.	
kwartalnie	rb. 4.50
Zmiana adresu 20 kop.	

CENA OGŁOSZEŃ:

1-sza strona 1 wiersz pettu	kop. 60
Nadesłane	50
Reklamy	30
Nekrologi	20
Zwyczajne	15
Drobne ogłoszenia 1 wyraz	3

Za grubszy druk — podwójnie.

Za tłumaczenie dolicza się po 2 kop. od
wiersza.

Za dołączenie prospektów do „Gazety“
płaci się rb. 10 od tysiąca i opłata pocztowa.

Cena oddzielnego egzemplarza 3 kop. Dostać można we wszystkich ajen-
cjach pism, kioskach i na kolejach. Prenumerować można we wszystkich
kantarach pocztowych. Żądać numerów okazowych.

Najpoczytniejszy organ na prowincyi.

Wesoły kącik.

W MAGAZYNIE.

— Nie, panie, tego ubrania nie
kupię. Spodnie są za krótkie dla
mego chłopca. Za miesiąc z nich
wyrośnie.

— O, niech p. dobrodziejka się
nie obawia. One miesiąca nie prze-
trzymają, aż na tak długi termin
roboty nie wykończamy.

ZASŁUŻONE UZNANIE.

— Jakież tam wrażenie odniósł
szanowny pan z koncertu mego
siedmioletniego synka?

— Hm!... Jakby tu p. dobrodzie-
jowi powiedzieć? Ogromnie podobał
mi się jego ruch, z jakim chowa
skrzypce do pudła.

WARUNKI PRENUMERATY:

„WIECZORY RODZINNE“ kosztują w Warszawie: Rocznie rb. 4. Półrocznie rb. 2.
Kwartalnie rb. 1. Za odnośnienie dopłaca się 10 kop. kwartalnie.

Z przesyłką pocztową w granicach państwa: Rocznie rb. 5, półrocznie rb. 2 kop. 50,
kwartalnie rb. 1 kop. 25.

Za granicą: w Austrii 14 koron, z dodatkami 21 koron rocznie.

„ w Niemczech 12 marek, z dodatkami 19 marek rocznie.

Za oprawę dodatków bezpłat. książkow. dopłaca się 2 rb. 40 k. rocznie, t. j. po 20 k.
od tomu. Na przesyłkę podarunków należy dołączać kop. 40 w stosunku rocznym.

Adres redakcyi i administracyi:

Redaktor: *Władysław Umiński.*

Warszawa, Krak. Przedm. 69. Telefon 194-06. Wydawcy: *Tow. Wydawnicze „Świt“.*

